



# CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

numer 9 (225) wrzesień 2009

Tekst: *Barbara Morawska-Nowak*, zdjęcia: *Marcin Kolonko*

## Dni Gór PTT 2009 z Jerzym Harasymowiczem

„Wokół góry, góry i góry  
I całe moje życie w górach  
Ileż piękniej drozdy leśne śpiewają  
Niż śpiewak płatny na chórach...”

*Jerzy Harasymowicz*

W dniach od 10 do 13 września 2009 roku odbyły się Dni Gór PTT w Woli Michowej zorganizowane przez Oddziały PTT w Mielcu i Tarnowie. Zbiegły się one w czasie z Harasymiadą 2009 organizowaną w dziesiątą rocznicę śmierci poety przez Gminny Ośrodek Kultury i Nadleśnictwo w Komańczy. W gminie tej leży Wola Michowa, a większość trzydniowego programu odbywała się w Ośrodku Turystyki Górskiej „Latarnia Wagabundy”.

Harasymjada to nie tylko te trzy dni; jeżeli to nie Rok to można powiedzieć, że choćby Półroczcie Harasymowicza. To cykl różnego rodzaju przedsięwzięć i wydarzeń kulturalno-edukacyjnych, odbywających się od marca do września. Były to okolicznościowa lekcja biblioteczna, konkursy poetycko-plastyczne i recytatorskie, prezentacja twórczości poetyckiej, piknik literacki, koncerty, konferencja przybliżająca dorobek poety, wydanie materiałów informacyjnych, wystawa fotograficzna, wycieczki śladami poety, promocja książki bieszczadzkiej, ogniska, spotkania itd. Osobiście trafiłam na sam finał imprezy rozgrywający się w Operze Górskiej – estradzie w Ośrodku „Latarnia Wagabundy”. Dzięki obecności w tych dniach sporej grupy naszych członków, z 45-cioosobową grupą z Nowego Sącza na koniec stanowiliśmy wdzięczną widownię wraz z innymi uczestnikami, którzy przyjechali z Komańczy. Program sobotni

zaczął się występem kapeli „Kremenaros.” Mieliśmy okazję nasłuchać się grania i śpiewania barda Andrzeja Mroza, który chętnie bisował i poczęstował się smaczną grochówką z kotła, kielbaskami z grilla czy smażonymi rydzami, jakich nie brak w okolicznych lasach.

Na zakończenie wójt gminy Komańcza Stanisław Bielawka w towarzystwie Marii Harasymowiczowej, wdowy

po poecie, rozdali nagrody młodym uczestnikom rozmaitych konkursów, a gospodarz Ośrodka, Wojciech Gosztyła z żoną Teresą wykonali wzruszającą łemkowską dumkę.

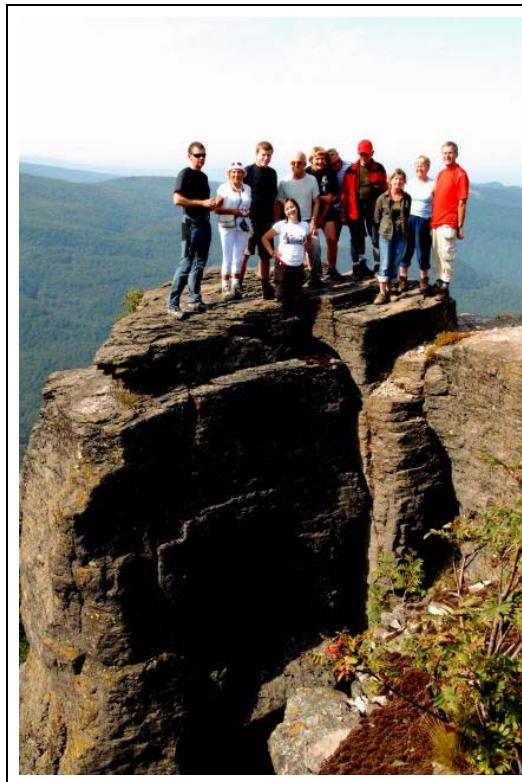
Z innych znaczących wydarzeń należy odnotować nadanie Gminnej Biblioteki Publicznej w Komańczy patrona – Jerzego Harasymowicza i odsłonięcie dedykowanej mu pamiątkowej tablicy, a także odsłonięcie podobnej tablicy na domku Nadleśnictwa w Mikowie, gdzie Harasymowicz spędził swój ostatni urlop w Bieszczadach, w lipcu 1999 roku. Uroczystościom w Komańczy towarzyszyły występy Julii Dosznej, Elżbiety Adamiak, Andrzeja Mazura i Grzegorza Śmiałowskiego.

Harasymjadę uznano za tak bardzo udaną, że ogłoszono, że stanie się ona coroczną imprezą kulturalną, a my poczuliśmy się zaproszeni na nią za rok.

◆ ◆ ◆

W Dniach Gór wzięło udział ponad 90 członków PTT: z obu oddziałów w Łodzi, z Mielca, Ostrowca Świętokrzyskiego, Chrzanowa, Krakowa, Sosnowca, Tarnowa i na koniec z 44-osobową grupą z Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu, która doszła ze Słowacji przekraczając graniczne pasmo. Przez trzy dni uczestnicy rozbiegali się po

*(dokończenie na str. 2)*



CO SŁYCHAĆ w numerze:

**DNI GÓR PTT 2009 W BIESZCZADACH**

**Mamidło górskie, czyli widmo Brockenu**

**Podróż do wnętrza Ziemi – Islandia 2009 (część 2)**

## Jerzy Harasymowicz

Urodził się 24 lipca 1933 r. w Puławach, zmarł 21 sierpnia 1999 r. w Krakowie. Kształcił się na leśnika, ale został poetą.

Zadebiutował w 1953 roku, publikując wiersze i prozę poetycką w „Życiu Literackim”. Jego pierwszym tomikiem były wydane w 1956 roku „Cuda”. Publikował również na łamach m.in. „Twórczości”, „Tygodnika Powszechnego” i „Dziennika Polskiego”.

Założyciel grup poetyckich Muszyna i Barbarus. Laureat licznych nagród, m.in. Nagrody im. Stanisława Piętaka (1967), Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1972), głównej Nagrody Ministra Kultury i Sztuki (1975).

W roku 1963 poznał Marię Górkiewicz, swą jedyną i dożgonną miłość. Zamieszkali w Krakowie, ale najchętniej spędzali czas na długich pobytach w górach, szczególnie umiłował sobie Bieszczady.

Jerzy Harasymowicz był poetą Beskidów Wschodnich, Łemkowszczyzny, rozpropagował kulturę greko-katolicką, za którą „W rozpaczy rozrzuciła cerkiew po dolinach swoje dzwony”. Napisał wspaniałe „przewodniki” dla tych wszystkich, którzy w górach nie szukają tylko poligonu, stadionu, toru przeszkód.

Jego wiersze rozpowszechniły się dzięki oprawie muzycznej stając się ulubionym repertuarem śpiewanym na turystycznych ogniskach. Z poezji Jerzego Harasymowicza wywodzi się termin „kraina łagodności”, do którego w swoich piosenkach nawiązywał Wojciech Bellon, a był później utożsamiany z poezją śpiewaną.

Harasymowicz był pisarzem płodnym, umierając zostawił po sobie ponad 40 tomów wierszy, liczne wybory wierszy i 2 bajki dla dzieci sprzedane łącznie w liczbie ponad 700 000 egzemplarzy.

W roku 1999 ciężko zachorował, ale jeszcze odpoczywał w lipcu w swoich ukochanych Bieszczadach. Zgodnie z ostatnią wolą poety Jego prochy rozsypano ze śmigłowca nad bieszczadzskimi połoninami. Jego symboliczny grób stanowi pomnik w kształcie bramy na Przełęcz Wyżnej. ■

(dokończenie ze str. 1)

całych Bieszczadach od Tarnicy, poprzez obie Połoniny, Chryszczatą oraz pasmo graniczne z najbardziej uciążliwym zejściem. Osobiście wzięłam udział z sobotniej wycieczce w Vyhorlat, dokąd pod wodzą Jurka Krakowskiego udaliśmy się trzema autami. Celem naszym był Sninsky Kamen (1005 m n.p.m., *na zdjęciu na str. 1*), wznoszący się nad powiatowym miastem Snina. Po dwóch godzinach dość uciążliwego podejścia bukowym lasem znaleźliśmy się pod ogromnymi skałami andezytowymi, które obchodząc doszliśmy do żelaznej drabiny, przez którą wydostaliśmy się na podcięta ze wszystkich stron sporą płaszczyznę, aby podziwiać wokół wspaniałe, rozległe widoki. Okazało się, że są jeszcze drugie takie skały, nad które wydostaliśmy się tym razem pokonując aż trzy drabiny. Ukazał się z nich bezmiar prawie w stu procentach zalesionych gór Vyhorlatu, a w dole w głębokich lasach jezioro, zwane Morskim Okiem. Zejście osobiście dla mnie było jeszcze bardziej uciążliwe jak wejście, ale osiągnęłam wreszcie zbawczy samochód, którym jeszcze dość długo błakaliśmy się po Słowacji.

◆ ◆ ◆

W niedzielę, po mszy św. w miejscowym kościółku rozjeżdżano się w rozmaite strony, do domów. Najbardziej wytrwali wzięli udział w wycieczce po Woli Michowej i mogli wiele dowiedzieć się od prowadzącego ją kierownika Ośrodka, przewodnika i ratownika GOPR, Wojtki Gosztyły. Nabył on w maju 1993 roku obiekt po dawnej filii zakładu karnego w Nowym Łupkowie wraz z terenem obejmującym 12 ha. Po likwidacji zakładów karnych w latach 80-tych XX wieku organizowano tam kolonie dla dzieci rodzin wojskowych oraz rozmaite szkolenia wojskowe. Obecnie obiekt odnowiony, są plany nadbudowy pierwszego piętra i powiększenia go do 100 miejsc. Przy wjeździe do Ośrodka jest sezonowy punkt gastronomiczny, następnie boisko, pole namiotowe i parking. Po przejechaniu przez mostek jest spora przestrzeń łąki, są przed budynkiem przy jadalni stoły i ławy, poniżej miejsce na ognisko, a nad nim estrada „Opery Leśnej”. Wojtek rozwija szeroką ofertę dla turystów odwiedzających jego progi – kolonie i zielone szkoły, biwaki, rajdy, zjazdy, plenery malarskie i rzeźbiarskie, a w zimie biegi narciarskie, do których przygotowuje trasy przed sezonem. Sam jest instruktorem narciarstwa biegowego, wypożycza sprzęt narciarski. Inną atrakcją w zimie są kuligi. Jest człowiekiem pełnym inwencji i energii, autorem inicjatyw w tamtejszej niewielkiej społeczności. Zatrzymaliśmy się właśnie przy nowobudowanym stylowym drewnianym kościele, Wojtek jest przewodniczącym budowy tego kościoła, opowiada ile rzeczy wykonano już pracą społeczną i własnym sumptem. Projekt kościoła jest również wykonany społecznie przez architekta Bogdana Jezierskiego, który przeniósł się z Częstochowy do Łupkowa, aby tu znaleźć spokojne miejsce na starość. Kościół postawili cieśle z Dzianisza, ale gonty na dachu położyła już miejscowa firma. Zbierane są ofiary na budowę kościoła, na Harasymiadzie także zbierano i apelowano do ofiarności uczestników. W rozmowie wyszedł także temat dzwonu z dawnej cerkwi w Balnicy, który odkopał kuzyn Wojtki i oddał go do Muzeum w Sanoku. Z Balnicy, miejscowości liczącej przed wojną około 500 mieszkańców, pozostała jedynie kaplica, także odnowiona przez Wojtkę. Akcja Wisła objęła tamte tereny zamieszkałe w większości przez Łemków. Tereny opuszczonej wsi przejęło nadleśnictwo i zarosły już lasem.

Wysiedlenia dotyczyły także Woli Michowej liczącej przed wojną 900 mieszkańców, obecnie mieszka tu osiemnaście rodzin – 80 osób. Wojtek chwali dobry mikroklimat miejscowości, czuje się tu u siebie, tym bardziej, że pochodzi z mieszanej rodziny; jego babka była Łemkinia i z tego powodu jego dziadkowie także musieli w 1946 roku opuścić wieś. Na szczęście dzięki rodzinie dziadka udało im się osiedlić w Zagórzcu, a nie w okolicach Słupska.

Sama Wola Michowa uzyskała lokację w połowie XVI wieku, a niejaki Klemens Brancki uzyskał dla miejscowości prawa miejskie w 1746 roku, niestety tylko do I rozbioru Polski. Leżała ona na szlaku handlowym z południa do Lwowa, dlatego też osiedliło się w niej sporo ludności żydowskiej, rozwijającej handel. Obecnie pozostały jedynie macewy na zarośniętym, opuszczonym żydowskim cmentarzu, do którego dotarliśmy na koniec spaceru po Woli Michowej. Szliśmy tam śladami starej wiejskiej drogi, wzdłuż rzeki Osławy, którą zamierza Wojtek przywrócić jako trasę turystyczną i spacerową. Mijamy dawną szkołę – tysiąclatkę, która obecnie jest pensjonatem „Kira”, w którym można także zatrzymać się w Woli Michowej. Inne budynki były dawniej zamieszkane przez służbę więzienniczą bądź pracowników państwowych gospodarstw rolnych zlikwidowanych po 1990 roku. Skręcamy na drogę prowadzącą na przełęcz Żebrak, przechodzimy przez most na Osławie. Wojtek pokazuje grupę domów, w miejscu gdzie dawniej był rynek – centrum miasteczka. Idziemy dalej by niespodziewanie skręcić w bok ledwo wydeptaną podmokłą ścieżką, przejść w bród potok, wydostać się na stromy drugi brzeg i na łąkę, którą dochodzimy do cmentarza.

Ze Smolnika przez Wolę Michową i Cisną jeździ sezonowo do Majdanu wąskotorowa kolejka leśna, to także atrakcja dla turystów, przypomnę że o jej przywrócenie upominał się w latach 90-tych Jurek Preisler, ówczesny prezes Oddziału PTT w Poznaniu.

Tak w dużym zapewne skrócie opowiedziałam o Woli Michowej, gdzie byłam po raz pierwszy, nielicznej obecnie małej osadzie przy opuszczonych, wyludnionych ziemiach dawnej łemkowszczyzny. Jedyną większą miejscowością w pobliżu jest Nowy Łupków, gdzie właśnie były główne zakłady karne, a obecnie jadąc widać z daleka nieciekawe, opuszczone budynki po nich. Tam mieści się szkoła podstawowa, do której są dowożone dzieci z Woli Michowej, a starsze do gimnazjum aż do Komańczy.

◆ ◆ ◆

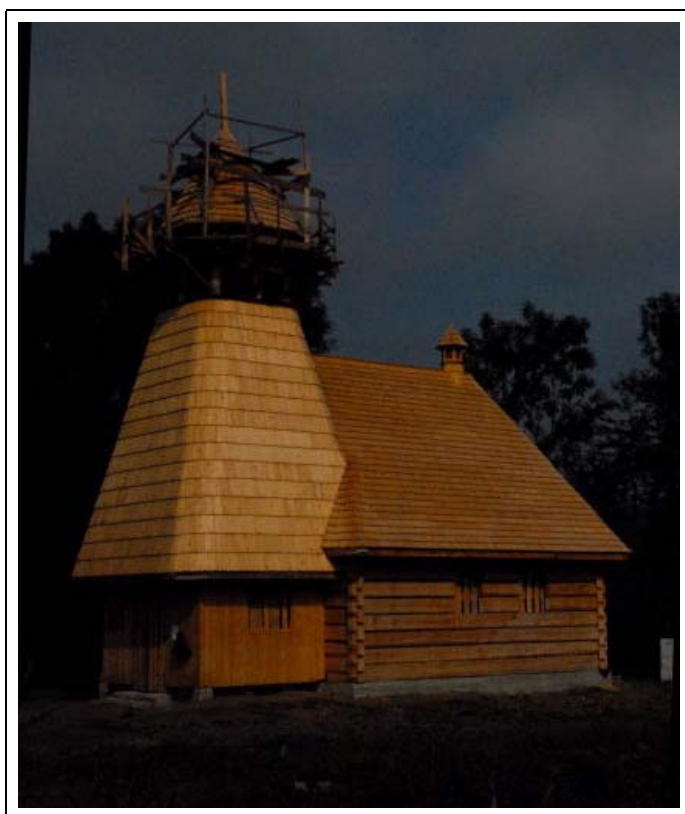
Jako jedni z ostatnich wyruszyliśmy spod „Latarni Wagabundy” o godzinie 13.00 by po czterech godzinach jazdy dotrzeć do Krakowa. Przez wszystkie Dni Gór była wspaniała pogoda, z deszczem spotkaliśmy się przelotnie w drodze powrotnej między Gorlicami a Ciężkowicami.



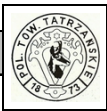
*Morskie Oko*



*Pasmo Virholat*



*kościółek w Woli Michowej*



Tekst: *Iwona Nakoneczna-Świątek*, zdjęcia: *Iwona Nakoneczna-Świątek, Marcin Świątek*

## Podróż do wnętrza ziemi – Islandia (cz. 2)

Okolo godziny dziewiątej rano nasz prom przycumował do portu w Seyðisfjörður. Zjechaliśmy na ląd. Po tygodniowej podróży stanęliśmy na wyspie. Teraz tylko przejść kontrolę celną i można ruszać w nieznaną. Zadali nam dwa pytania i bez problemu puścili dalej. Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, wzięlibyśmy na pewno więcej żywności, niż jest dozwolone, czyli zaledwie 3 kg na osobę. Ale nie wszystkich puszczają – ładne, dobrej klasy samochody, zwłaszcza z Holandii sprawdzają bardzo wnikliwie.

Nikt z promu nie wybierał się w tą stronę co my, więc po wymianie pieniędzy, ruszyliśmy drogą nr 92, później 93 i 96 w stronę Fiordów Wschodnich. Wiatr, który wiał z prędkością, uniemożliwiająca swobodne poruszanie się po terenie oraz chłód, który potęgował się wraz z każdym podmuchem, powodowały, że Islandia z momentu na moment stawała się w naszych myślach coraz bardziej niedostępna. Chmury i mgły zasłaniały wierzchołek całej wyspy, a wodospady spływające z wszystkich stron wyglądały jakby ściekały z powietrza.

Fiordy wschodnie są piękne, mnóstwo w nich jest robiących niesamowite wrażenie wiosk rybackich, miejscowości, gdzie życie dawno się zatrzymało, dawno opuszczonych farm pośród głębokich, wcinających się w wyspę dolin. Zwiedziliśmy parę farm, poplątaliśmy się pomiędzy dolinami a latarniami morskimi o bardzo barwnych kolorach, zwiedziliśmy jeden z najstarszych domów na Islandii – czerwony drewniany Langabud z 1850 roku.

Objechaliśmy całe fiordy i w końcu dotarliśmy na główną drogę Islandii nr 1, którą dostaliśmy się do Jokulsárlón. Jest to rewelacyjna laguna, do której spływają odłamki lodu z lodowca Breidamerkurjökull, a pomiędzy nimi pływają fokki. Był już zmierzch, gdy tam dotarliśmy. Mieliśmy w planach przepłynąć się amfibią, postanowiliśmy więc poczekać do rana. Przespacerowaliśmy się nad ocean, gdzie obserwowaliśmy kawałki pływającego lodowca oraz bawiące się fokki.

Rano okazało się, że chętnych na amfibię jest wielu, a cena podniosła się na tyle, że dokończyliśmy kawę i ruszyliśmy dalej w stronę południowej części lodowca Vatnajökull. Jest to największy lodowiec w Europie i trzeci pod względem wielkości na świecie, zajmuje powierzchnię ok. 8% kraju. Jest pozostałością po ostatnim zlodowaczeniu, częścią polarnej pokrywy lodowej, która wyrzeźbiła wybrzeża i teren Islandii. Najwyższym punktem tego lodowca, a zarazem najwyższym szczytem Islandii jest Hvan-nadashnjukur, sięgający 2119 m n.p.m. cichy cel naszej podróży. Jest to klasyczny stożkowaty stratowulkan, podobno najbardziej niespokojny na całej wyspie, choć nie wybuchał już od ponad 300 lat. Zlokalizowaliśmy miejsce, z którego wychodzi się w górę i aby nie tracić czasu ruszyliśmy do Parku Narodowego Skaftafell. Jest to miejsce, gdzie można zobaczyć wszystkie procesy życiowe lodowca. Piękne wodospady, rewelacyjne szczeliny, olbrzymie moreny i ota-

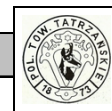
czająca przestrzeń lodowca. Po parku wytyczone są ścieżki, którymi doszliśmy do wodospadu Hundafoss, a następnie do wodospadu, który znajduje się na większości pocztówek – czarnego wodospadu Svartifoss, gdzie woda spływa po czarnym kolumnowym bazalcie. Rewelacyjne miejsce.

Po spacerze poszliśmy kupić dokładną mapę okolic szczytu ze współrzędnymi do GPSa. Niestety, Pani nie sprzedała nam takiej, informując, że na masyw Hvana można iść tylko z przewodnikiem. Spyaliśmy jeszcze tylko skąd i o której wyrusza grupa. Wiedzieliśmy już co robić dalej. Z racji, że grupy z przewodnikiem startowały z parkingu oddalonego od wyjścia ok. 10 km o 5 rano, my ruszyliśmy o 4.00. Pogoda zapowiadała się dobrze, ścieżka przez piargi była mocno przedeptana, gdyż dzień wcześniej pogoda była równie udana i przeszło tą drogą parę grup z przewodnikami. Nie spieszyliśmy się, bo widoki były tak wspaniałe, a pogoda w miarę stabilna, że żal było iść dalej. Niesamowite szczeliny, jakich do tej pory nie mieliśmy okazji zobaczyć, ogrom lodowca i nagle jest wyłoniło się coś, jakby wierzchołek, ale na tyle daleko, że pewności nie mieliśmy do póki nie weszliśmy na olbrzymie plato. Związani liną, w rakach kroczyliśmy pomiędzy szczelinami, sprawdzając stabilność pokrywy, przechodząc po kładkach z lodu, osłaniając się od podmuchów wiatru.

20 czerwca 2009 roku, po około 6 godzinach tuptania dotarliśmy na najwyższy szczyt Islandii – Hvan-nadashnjukur (2119 m n.p.m.). Wiatr tak wiał, że byliśmy zmuszeni założyć stanowisko na wierzchołku i w taki sposób się poruszać. Nie przeszkadzało to na szczęście, by zrobić zdjęcia na każdą stronę świata. Na zejściu wiatr dokuczał nam jeszcze bardziej, ale najgorsze było przejście przez obszar gdzie lodowiec zaczął już się topić i nogi grzęzły w śniegu. Godzinę drogi od wejścia na morenę spotkaliśmy dwie grupy turystów z przewodnikami, wiedzieliśmy, że nie można na własną rękę tutaj przebywać, oni zapewne też, ale byli na tyle zdziwieni, że w miły sposób się z nami przywitani i poszli dalej. Na dół wróciliśmy około godziny 15. Ludzie patrzyli na nas lekko zdziwieni, że sami, że tylko we dwoje, ale cali i to było najważniejsze.

Ponieważ udało nam się bardzo szybko zdobyć tę górę, postanowiliśmy, że jak tylko pogoda dopisze zwiedzimy jak najwięcej się uda i tego samego dnia pojechaliśmy dalej do Nupsstadur, farmy położonej u podnóża olbrzymich klifów z XVII wiecznym kościołem krytym darnią. Tego samego dnia byliśmy jeszcze u podnóża Wodospadu Sióstr w Kirkjubaejarklaustur oraz przejechaliśmy większą część wielkiego pola lawowego Mydalassandur.

Kolejnego dnia oglądaliśmy wspaniałe wychodne skalne w miejscowości Vik i wodospad Skogafoss, którego spadek mierzy ok. 60 metrów. Następnie wjechaliśmy pod zbocza Vatnafjöll i dojechaliśmy do Keldur, najlepiej zachowanego tradycyjnego budownictwa wikingów. Atrakcją, na którą nie



możliśmy się doczekać był widok najwyższego i najbardziej czynnego wulkanu wyspy – wulkanu, którego kolejny wybuch jest przewidywany na przełom lat 2009/2010, czyli tak naprawdę nie wiadomo kiedy – mowa oczywiście o Hekli wznoszącej się nad wyludnionym i opustoszałym terenem na wysokość 1491 m n.p.m.

Wjechaliśmy w Interior, miejsce dostępne teoretycznie tylko dla samochodów z napędem na cztery koła, gdzie oprócz naszego tylko takie się tam poruszały. Postanowiliśmy spróbować i udało się.

Przejechaliśmy część drogi nr 26 u podnóża Hekli, a następnie F206 do rezerwatu Landmannalaugur. Jest to naturalne pole termalne, w przewodnikach opisywane jako najpiękniejsze i najniezwyklejsze miejsce na Islandii. Wielobarwność stoków jest wynikiem wysokiej aktywności wulkanicznej i geotermicznej. W rezerwacie znajdują się liczne szlaki i miejsca z wodami termalnymi. Mieliśmy przyjemność kąpać się w nich. W rezerwacie spędziliśmy noc, a poranna pogoda wypłoszyła nas, mimo, że było co tam robić.

Ruszyliśmy dalej. Wracając drogą nr 32 zjechaliśmy do miejscowości Stong, gdzie znajduje się ostatni dom wikingów – zalany przez lawę, lecz zrekonstruowany i udostępniony do zwiedzania. Przez Selfos, największe miasto południowej Islandii i półwysp Reykjanes – przypominający Interior dojechaliśmy do popularnej na całym świecie Błękitnej Laguny. Tak naprawdę jest to ściek przemysłowy, wytworzony całkowicie przypadkowo. Woda pochodząca z głębokości ok. 2000 m, dociera najpierw do elektrowni, więc temperatura w kąpielisku jest dużo niższa, a i tak wynosi ok. 38-40°C. Cała infrastruktura i otoczka Błękitnej Laguny jest na wysokim poziomie, co przyciąga tysiące turystów z całego świata.

Po 4 godzinach moczenia się, nakładania maseczek i leniuchowania ruszyliśmy dalej. Tym razem mieliśmy dotrzeć do kładki Leifura Erikssona łączącej kontynent amerykański z euroazjatyckim. Nie wszystko szło jednak pięknie i po drodze na tyle felernie straciliśmy koło, że nadawało się jedynie do wyrzucenia. Do kładki dojechaliśmy na rezerwowym. Wydawało nam się, że będzie to niesamowita przepaść, tak jednak nie było, choć i tak warto było znaleźć się w tym miejscu.

Nie należy zapominać, że w ten dzień padało i było bardzo zimno. Hafnarfjörður – kraina elfów, gdzie postanowiliśmy spędzić wieczór, okazała się zbyt komercyjna i ruszyliśmy w stronę stolicy. Rano dojechaliśmy do Reykiawiku, po kilku godzinach kupiliśmy oponę i rozpoczęliśmy zwiedzanie stolicy – bardzo sympatycznego miasta skupiającego większość mieszkańców kraju. Po zwiedzeniu Austurvollur, czyli głównego placu, Althingihusid, czyli siedziby islandzkiego parlamentu, katedry luterńskiej Domkirkja, okolicznych uliczek i starych drewnianych domów ruszyliśmy dalej.

Kolejnym punktem był Park Píngvellir, miejsce styku obu płyt kontynentalnych, jak również miejsce spotkań średniowiecznego islandzkiego parlamentu, najważniejsze miejsce dla islandzkiej tożsamości narodowej. Tego dnia jeszcze większą atrakcją było zobaczenie obszaru, na którym znajdują się mniej lub bardziej czynne gejzery ze słynnym Geysirem, Strokkurem i mniejszymi. Strokkur, zwany „maselnicą”, wyrzuca co około 10 minut słup

wody o wysokości 30-35 m. Cały ten obszar robi niesamowite wrażenie. Nocleg spędziliśmy przy złotych wodospadach Gulfoss na rzece Hvita. (cdn)



przepiękna laguna Jokulsarlon



Iwona i Marcin na Hvannadalshnukur – najwyższym szczycie Islandii



Hekla – 1491 m n.p.m.



Błękitna Laguna



Strokkur – gejzer zwany „maselnicą”



*pociąg TGV na zajezdni w Bordeaux*



*Sekwana z II poziomu Wieży Eiffel'a*



*Bazylika Sacre Coeur widziana z III poziomu Wieży Eiffel'a*



*zaśnieżone Pireneje*

## Tekst i zdjęcia: *Marcin Kolonko* **Francuskie impresje**

W maju i czerwcu br. przebywałem na półtoramiesięcznym stażu w Meteo France w Tuluzie. Poleciałem tam samolotem, wskutek czego nie miałem własnego transportu na miejscu i byłem zdany na (znakomity zresztą) publiczny – metro, kolej i autobus. Za cel pierwszej wyprawy – po 2 tygodniach pracy w Tuluzie – obrałem Paryż. Wybrałem się tam słynną szybką koleją TGV (*Train a Grande Vitesse*), oczekując niezwykłych wrażeń także z podróży.

Początkowe 4 godziny z Tuluzy pociąg mknął bezszelcnie około 160 km/h po standardowym torowisku. Minąłem Bordeaux, gdzie udało mi się – dzięki uprzejmości francuskiego współpasażera – zająć miejsce przy oknie. Dowiedziałem się, że dworzec kolejowy oraz most na Garonne zaprojektował Gustave Eiffel (ten od wieży). W 5. i 6. godzinie podróży, trochę przed Tours, pociąg rozwinął swoje deklarowane 280 km/h – co objawiało się nieco zwiększonym poziomem szumu w wagonie.

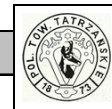
Wreszcie, po 6,5 godzinach podróży osiągnąłem Gare Montparnasse – piękny dworzec kieszeniowy o kilkunastu torach i ponad 10 peronach. W strumieniu pasażerów wtopiłem się w tłum rdzennych i napływowych paryżan. Postanowiłem wejść na panoramiczny wieżowiec z kawiarnią około 150 m nad ziemią by stamtąd złapać orientację i obejrzeć kolejne cele – Montmartre oraz Wieżę Eiffel'a wraz z rozległym widokiem na miasto. Zdecydowałem się także na kurs panoramicznym autobusem po ulicach Paryża.

Około 21 zacząłem rozglądać się za lokum do spania. Okazało się, że wszystkie hotele na moją kieszeń były już pozajmowane. Szczęśliwie, znalazłem młodego, sympatycznego i czynnego portiera który za niewielką sumę udzielił mi schronienia w piwnicy (poziom -2) hotelu Best Western niedaleko Place de la Republique. Zostawiłem mu swój adres i zaprosiłem do obejrzenia Polski, którą uważałem za „kraj ludzi o otwartych umysłach”.

Pokrzepiony kilkoma godzinami snu, wyszedłem o 6 rano na jeszcze opustoszałe ulice Paryża. W nadziei na uczestnictwo we Mszy św., po spacerze nad Sekwaną skierowałem się do stacji metra Concorde, które zawiozło mnie w pobliże bazyliki Sacre Coeur. Jakież było moje zdziwienie i radość, kiedy do pijącego zagryzaną croissantem kawę podszedł mój kolega ze studiów doktoranckich, Robert! I w dodatku wiedział o wcześniejszej Mszy o 9, co zaoszczędziło mi 2 godzin czekania.

Po Mszy wymieniliśmy wrażenia i nowości z Polski i Francji (Robert przebywał w Paryżu na stażu naukowym a potem udawał się do Madrytu) i uradowani przypadkowym spotkaniem rozstaliśmy się. Warto dodać, że bazylika na Montmartre jest pięknie widoczna z Wieży Eiffel'a, a sentyment do tej świątyni przejawia wielu moich znajomych z PTT.

Po Mszy pozostało pospacerować i zrobić jakieś małe zakupy – a potem już stopniowo zbliżać się do Gare Montparnasse. Po pół godziny jazdy słynna francuska kolej



stała w polu. Przez mikrofon kierownik pociągu podawał po francusku komunikaty o rodzaju usterki i czasie jej usuwania. W końcu po ponad 7 godzinach w pociągu z 45-minutowym opóźnieniem dotarłem do dworca SNCF Toulouse Matabiau a stamtąd bezobsługowym metrem do akademika.

Upłynęły kolejne 2 tygodnie pracy i nadszedł dzień realizacji mojego największego zamierzenia turystycznego – wycieczki w Pireneje francuskie. Za cel, po dokładnym prześledzeniu zakupionych w Polsce map Pirenejów, obrałem przełęcz i schronisko Besines położone w pobliżu przełęczy Col de Puymorens. Trasa pierwszego dnia opiewała na 5 godzin, jednak pomny dawnych przygód z Pirenejami szacowałem niezbędny na przejście czas na 8-9 godzin. Niewiele się pomyliłem.

Początkowo szlak wiódł przez miejscowość Merens-Val co oznacza „wylot doliny”. Po kilkudziesięciu minutach marszu między polami osiągnąłem ów wylot i pnąc się w górę nabierałem wysokości. Gęsta, drzewiasta roślinność stopniowo ustępowała krzakom i kamieniom. Mijałem kolejne moreny, droga to oddalała się od strumienia (odcinki płaskie), to przybliżała się. Po 4 godzinach osiągnąłem wypłaszczonej polanę służącą do wypasu bydła. Wysokość wynosiła około 1820 m. Następnie skierowałem się w prawo i dosyć stromo podszedłem pod spiętnienie stawu. Opuściłem niewielką równinę i po godzinie nietrudnego podejścia znalazłem się na przełęczy Portaille des Besines, na wysokości 2330 m n.p.m.

Dalej droga wiodła w dół przez kilkunastometrowej szerokości spłachetek śniegu. Czas na dojście do schroniska szacowałem na półtorej godziny. Faktycznie byłby trochę mniejszy, jednak po drodze zaskoczył mnie grad i postanowiłem go przeczekać w wolnym od wody miejscu. Lekko zmoczony, buty wysuszyłem w popołudniowym słońcu, pod schroniskiem Refuge des Besines na wysokości 2150 m n.p.m. Sam nocleg do drogich nie należał, zważywszy że w cenie były 2 posiłki (trzydaniowa kolacja i lekkie śniadanie na słodko). Pokrzepiony miłym towarzystwem osób z kilku krajów i wieczornymi rozmowami udałem się w kierunku L'Hospitalet pres d'Andorre. Po 3 godzinach spokojnego marszu obniżyłem się na 1400 m i przed odjazdem autobusu (zastępującego pociąg na pewnym odcinku trasy) zdążyłem jeszcze urządzić plener fotograficzny na opustoszałej stacji kolejowej. Powrót przebiegł spokojnie, trasa przejazdu autokaru wiała się wzdłuż doliny rzeki Ariege a w Tarascon, około 90 km przed Tulużą, przesiadłem się z powrotem na pociąg.

Co charakterystyczne, po powrocie z Paryża Tuluza wydała mi się cichym, prowincjonalnym i ustronnym miejscem. Natomiast po pirenejskiej ciszy miałem wrażenie natłoku bodźców i ciżby ludzkiej a moja myśl zaczęła – urzeczona dostojeństwem gór – wypełniać się przypadkowymi wrażeniami i typowo miejskimi doznaniem takimi jak reklama, poszum metra, rozmowy ludzkie. Po „naładowaniu akumulatorów” i modlitwie w górach ten gwar mi już specjalnie nie przeszkadzał. ■

Tekst i zdjęcie: *Szymon Baron*

## Widmo Brockenu

Czasem wędrując po górach mamy okazję podziwiać niezwykle zjawiska – jednym z nich jest rzadkie zjawisko optyczne zwane widmem Brockenu lub po polsku mamidłem górskim. Istota tego widma polega na zobaczeniu swego własnego cienia na chmurze znajdującej się poniżej obserwatora, w dodatku otoczonego tęczą obwódką, zwaną glorią. Po raz pierwszy opisał to zjawisko Johann Esaias Silberschlag, który w 1780 r. zaobserwował je z Brockenu (1142 m n.p.m.), najwyższego szczytu gór Harz w środkowych Niemczech. Od nazwy tego szczytu wzięła się nazwa zjawiska, które zaobserwować można w wyższych partiach gór, gdy znajdujemy się na grani, z której jednej strony znajduje się gęsta chmura, a z drugiej świeci słońce. Można je również zaobserwować podczas lotu, np. samolotem.

Wśród ludzi gór popularny jest przesąd, mówiący o tym, że człowieka, który zobaczy widmo Brockenu, spotka w górach tragedia – odczynić je może ujrzenie zjawiska po raz trzeci, co więcej, szczęśliwiec może czuć się bezpieczny w górach po wsze czasy. Przesąd ten wymyślił w 1925 r. i spopularyzował Jan Alfred Szczepański, literat, publicysta, krytyk teatralny i filmowy, jeden z czołowych polskich taterników i alpinistów okresu międzywojennego.

Tak się złożyło, że podczas niedawnej, wrześniowej wycieczki w Tatry miałem okazję zobaczyć mamidło górskie już (a może dopiero) po raz trzeci.

Pierwszy raz obserwowałem je w 1997 roku na Trzydniwiańskim Wierchu w Tatrach Zachodnich – wówczas było najpiękniejsze, a ja jedyny raz byłem bez aparatu... Po raz drugi widziałem je z samolotu lecąc w marcu tego roku w góry Irlandii – wówczas okazało się złym omenem, bowiem nie udało mi się wejść na Carrantuohill – najwyższy szczyt Irlandii. Tym razem, po raz trzeci w życiu, oglądałem widmo Brockenu pod Kozim Wierchem, wędrując popularną Orlą Percią. W obu górskich przypadkach towarzyszyły mi osoby, które były pierwszy raz w danym rejonie... Cóż, jedni zobaczą widmo od razu, inni muszą swoje wychodzić po górskich szlakach.

Każdemu, kto kocha góry życzę, by chociaż raz dane mu było zobaczyć to przepiękne zjawisko. ■



Tekst i zdjęcie: *Antonina Sebasta*

## Ja też byłam w Karkonoszach

W sierpniu włóczyłam się trochę po Karkonoszach i okolicy. Tuż przed wyjazdem w „góry bez górali” zapoznałam się z rankingiem schronisk zamieszczonym w sierpniowym numerze „n.p.m.”. Po konfrontacji w terenie inicjatywę miesięcznika oceniam jako strzał w dziesiątkę. Ranking zadziałał ożywczo na personel placówek a wyniki dotarły do turystów o czym mogłam się przekonać słysząc komentarz sąsiadów w schronisku pod Łabskim Szczytem „Rzeczywiście ta kuchnia warta jest czwartego miejsca...” I w tym momencie doznałam olśnienia – nieustający ranking obiektów w górach może ożywić nasze strony internetowe i podratować wydawnictwa... przede wszystkim może być naszą najlepszą i najtańszą... reklamą, bo o PTT w Sudetach głucho. Oczywiście zasady muszą być inne, aby nie zarzucono nam plagiatu.

10 sierpnia w Karkonoszach uroczyście obchodzi się dzień Świętego Wawrzyńca – jest on patronem kaplicy pod Śnieżką. Tradycyjnie w tym dniu świętują przewodnicy sudeccy, ratownicy górscy i pracownicy parku. Ci ostatni w tym roku mieli szczególny powód do świętowania bowiem park obchodzi pięćdziesięciolecie. Nie pobierano wstępu, a na Polanie gdzie minął nas samochód z biskupem, rozdawano wydawnictwa informacyjne, serdecznie zapraszając do siedziby przy ulicy Chałubińskiego w Jeleniej Górze (dzielnica Sobieszów pod Chojnikami) oraz Karkonoskiego Centrum Edukacji Ekologicznej w Szklarskiej Porębie (ulica Okrzei). Skorzystałam i nie żałuję, oprócz stałej ekspozycji można było podziwiać fotografie z parków górskich w USA.

Park jest bardzo mały, główne trudności dostrzega się gołym okiem, zwłaszcza gdy z terenów narciarskich położonych w rejonie „Strzuchy Akademickiej” patrzy się na budowę hotelu Gołębiewski. Widać ogromną antropopresję, doznaje się wrażenia, iż tzw. inwestorzy najchętniej zabudowaliby cały teren, pozostawiając jedynie skały i wodospady jako naturalną podstawę dla racji istnienia parku. Przepisy Karkonoskiego Parku Narodowego należą do liberalnych, można wprowadzać psy w kagańcu i na smyczy, są trasy rowerowe, ścieżki edukacyjne, między innymi w sensowny sposób udostępniono ciekawe torfowiska. Czesi bronią się jak mogą przed zalewem urlopowiczów, dyrektor czeskiego parku z powodu masowego ruchu zamyka np. przejście w rejonie Szrenicy.

Prawdziwą plagą miejsc „turystycznego kultu” są stragany oferujące kicz i tandetę, trzeba się przeciskać koło nich aby wejść na szlak. „Upiększają” wodospady, stacje kolejek krzesełkowych, świątynię Wang i ulicę Konstytucji 3 Maja w Karpaczu. W miejscowości tej istnieje bardzo dobra ewidencja pokoi i miejsc noclegowych. Piękne pensjonaty kontrastują jednak z domami widmami i ruderami... Ceny w centrum (główna ulica) są „europejskie” ale jakość i obsługa zwykle odwrotnie do nich proporcjonalna. Unikać należy Cafe Bar „KOND I TORE I”.

Na tle podkarkonoskich miejscowości wspaniale prezentuje się stolica regionu – Jelenia Góra. Ma urocze, dopieszczone w każdym calu centrum, miłe lokale, placówki kulturalne. Podobne wrażenie robi kurort Cieplice (obecnie dzielnica Jeleniej Góry).

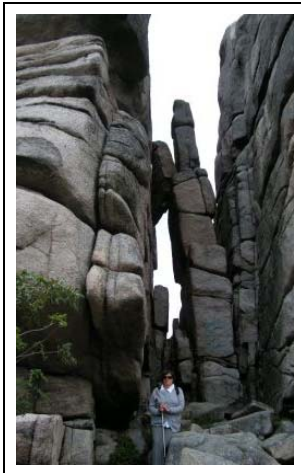
Po drugiej stronie granicy estetyczny jest Harrachov, słynny mamut został dobrze wbudowany w Certową horę, znajdującą się – co ważne! – naprzeciw głównego pasma Karkonoszy. Nasi sąsiedzi maksymalnie wykorzystali górę umieszczając na niej również trasy zjazdowe. Gastronomia na dobrym poziomie, choć dla Polaków obecnie drogo. Biznes kwitnie, ale nie jest taki narzucający się, nie utrudnia komunikacji, no i jest czysto.

Przykładem na sensowny „produkt turystyczny” jest na pewno Park Miniatur Dolnego Śląska usytuowany na terenie dawnej fabryki dywanów w Kowarach inicjatywa rozkochanego w jamnikach Mariana Piaseckiego. Tu-

rystę urzeka dokładność i serce z jakim odtwarza się zabytki, wciąż bowiem przybywa budynków.

Podobna atmosfera panuje w restauracji-muzeum „Dom Tyrolski” w Mysłakowicach. Prawdziwą oazę wysokiej kultury stanowi domek malarza-symbolisty Wlastimila Hofmana, znajdujący się w Szklarskiej Porębie przy niebieskim szlaku lub jak kto woli „ulicy” Jana Matejki. Obok specyficznych smutnych dzieci i aniołów (najlepsze dzieła znajdują się w galeriach, muzeach i kościołach) uwagę zwraca wspaniały księgozbiór i niekonwencjonalny oprowadzający.

Pięknie jest w Górach Sokolich. Kontrast alpejskiej Szwajcarki z polską, czarnoleską lipą, daje niepowtarzalny klimat. Na każdym kroku widać, że przyrodę cenią bywalcy tego miejsca, którymi są przede wszystkim adeptci wspinaczki. ■



### Wydaje:

**Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie**  
**redakcja: Barbara Morawska-Nowak, Szymon Baron, Marcin Kolonko**  
**adres redakcji: ul. Konarskiego 21/5, 30-049 KRAKÓW**  
**e-mail: morawska@ptt.org.pl, tel.: 0-12 634-05-89**

wersja elektroniczna „Co Słyszczać?” jest dostępna na stronie <http://www.ptt.org.pl/>